



Katastrofa na morzu: Statek „Sirio“, fotografowany przed wyjazdem z Barcelony, wkrótce przed straszną katastrofą, w której życie straciło w toni morskiej trzystu ludzi.

„Mateczka“.

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

Napisał Bronisław Mazowiecki.

19

(Ciąg dalszy).

Przez kilkanaście minut następnych jechali znowu pod lasem, w którym był wicher, niby wilków stado. Strach nie opuszczał podróźnej w drodze, mróz szczypał ją w twarz, a dreszcze krążyły po całym ciele.

Nakoniec wyjechali na wielkie, zdawało się, bez krańca, pustkowia białe. Kędy spojrzała, nie widziała nigdzie nic innego krom ogromnych zasp śnieżnych, wśród których ani jedno drzewo, ani jeden krzak większy nie sterczał czarną plamą...

Wyobrażała sobie, że jada już bardzo długo, a dziwnie jej się wydawało, że dotychczas ciemności nocne nie zmieniły jeszcze barwy. A zatem nie można było jeszcze nawet marzyć o świetle.

Jakże byłaby pragnęła, żeby już na świetle dzień zaczęło. Doznawała wrażenia, że z chwilą, gdyby przestały ją otaczać mroki nieprzejrzane, uczułaby się bezpieczniejszą nawet na tej pustyni wysniewionej.

Im dłużej zaś gonili przez te pustkowia, tem większy lęk chwycił ją za gardło i dławił...

Wtem spostrzegła się, że jada nie drogą, ale kędyś polami, łąkami zasypianymi śniegiem do niepoznaki...

Płoty nie sunęły się teraz, jak wprzód, równo po gładkiej warstwie zasy śnieżnej, lecz uderzały co trochę o coś niewidzialnego, podskakiwały gwałtownie, trzęsąc niemożliwie jej niewygodnym i tak siedzeniem.

Parę razy z hałasem stuknęły sanie jak gdyby o jakieś kupy kamieni, to zawadziły o pień lub głaz na miedzy tak mocno, że wszystkich sił użyła, by zaciskając palcami, mimo rękawic, zgrabiła od zimna, poręcze — nie wylecieć z sanek niby z procy...

— Słuchaj, człowieku — zaczęła krzyczeć — gdzie ty mnie wiesz... Zmłuj się, przewrócisz sanie!... Czyś ty pobłądził... Nawracaj! Stań... Stój!

Furman, jak głuchy, ani się nie obejrzał, mimo że krzyczała głosem najdonioślejszym na jaki zdobyć się mogła. Konie pędziły dalej jak szalone, poganiane uparcie przez woźnicę z głową ukrytą w koźchu.

I naraz sanie podskoczyły gwałtownie, aż się przechyliły na bok...

Tyle tylko wiedziała podróźna, która w tej chwili straciła przytomność.

Znalazła się w śniegu na pustkowiu, wypadłszy z sanek, które nie troszcząc się o nią, poleciały z wiatrem dalej.

W kilka minut później, wydostawszy się po strasznych wybojach na jaką taką drogę, przystanęły. Tu dopiero dał furman koniom zziębniętym chwilę wypoczynku.

Sam wyskoczył, zabrał z wnętrza koce, otrząpał je nieco ze śniegu i okrył nimi grzbiety konskie. Następnie machnął parokrotnie rękami, bijąc

się po bokach, dopóki nie rozgrzał ich trochę, wreszcie z zanadru butelkę z wódką wyciągnawszy, wychylił ją do dna, mimo że sporo w niej było.

Aż się skrzywił po niej i wstrząsnął, poczem głupowato uśmiechając się, rzekł głośno do siebie:

— Chyba, że kontentna będzie pani siostryczka... Dokumentniem zrobił, co mi przykazała... Cha... cha... Łaski sobie więcej u siostry dobrodziejki zaskarbię, ano! Chociaż to ja tam u niej w łaskach i tak dość... wystarczy... albo mi to źle... Teraz będzie jeszcze lepiej... A sprzeciwi mi się kiedy baba, toć ja ją przecie mam teraz w swojej łapie, ho, ho!... Jak się kiedy spię rzetelnie, to jej zagrozę, że wypiewam wszystko, co mi zrobić kazała... A wtedy siostra sobie zatańczy ze złości i zrobi, co ja zechcę... ho, ho!

Zapewne Czytelnicy poznali w pijanym furmanie dworskiego ogrodniczka Wosinka, którego, jak wiadomo, wielkiem zaufaniem obdarzała siostra Felicya.

Pijany był dostatecznie, ale mu się śnać zdawało, że się jeszcze nie upił, bo za chwilę zaczął uporczywie szukać flaszki z wódką.

Nie znalazł jej w zanadrzu, więc macał siano na saniach w każdym kącie.

Okazało się wszakże, iż wypił do dna swoją butelkę i więcej przy sobie nie miał wódki.

Złość go porwała. Kłął na czem świat stoi.

— Pić mi się chce! — krzyczał sam do siebie — dawaj siostra wódki... Cóż to ja będę darmo robił... Kazała siostra, to zrobił swoje, a teraz płacę... wódki daj... słyszysz, pić mi się chce... Wódki! — darł się w niebogłosy, ale dokoła była pustka, wśród której wicher jedynie był przeraźliwie, zmiatając śnieg z miejsca na miejsce i kurząc nim, jak po wielkiej posusze w lecie na gościńcu, gdy burza ma się zerwać...

Przekonawszy się, że mu nikt nie odpowiada, Wosinek zrozumiał, gdzie jest i wpadł w istną wściekłość pod wrażeniem, że żadną miarą nie zdoła tu rychło zaspokoić swego pragnienia.

Zerwał koce z grzbietów konskich, cisnął je na sanie, sam wskoczył do środka i śmignął biczyskiem z całej siły.

Konie poniosły przed siebie.

Poganiał je tak długo jeszcze, aż wreszcie wpadł dyszlem na płot jakiś.

Gwałtownie przystanęli. Wosinek omal nie wypadł jak z procy i to go trochę otrzeźwiło.

Szeroko oczy otworzył i gapił się przed siebie. Płot rozwałił dyszlem, uprząż potargał, w drodze jeden koc zgubił z sanek.

Rozejrzał się w koło i zastanowił nad tem, gdzie się znajduje w tej chwili.

Nie mógł przypomnieć sobie okolicy, zresztą jeszcze nie rozedniało, więc dobrze szczegółów nie rozpoznawał.

Ale rozwalenie płotu zbudziło widocznie mieszkańców, bo nagle światło pokazało się w jednym z okienek.

Dojrzał to Wosinek.

— Wódki — wrzasnął.

Nie było odpowiedzi. Ale wśród wycia wiatru słyszał wyraźnie jakiś ruch w budynku, przed którym się znajdował.

— Wódki dawać prędzej — znowu krzyknął głosem nieludzkim.

— Kto tam taki — spytano nareszcie z za płota.

— Nie dasz wódki, to łeb rozwalę — mruknął groźnie, jeszcze nie widząc, z kim rozmawia.

Wśród tego zsunął się z siedzenia w głąb siana. Ręka jego natrafiła przypadkiem na jakiś przedmiot twardy między sianem.

— Tu się bestyo ukryłaś — a wiedziałem, że butelka musi być w sianie...

I wyciągnął, zamiast butelki z wódką — siekierę, o której nie umiałby powiedzieć, skąd się tam w sianie wzięła.

Dopiero ciężar wyciąganego z pod siana przedmiotu, dał mu poznać pomyłkę.

Spojrzał ze zdumieniem, że to nie flaszka, ale mimo to w górę podniósł siekierę i sam prawie leżąc pod siedzeniem na dnie sanek, wywijając ją na osłep toporem.

— Nie dasz wódki, to łeb rozwalę — powtórzył głośnie, a język plątał mu się przy tych słowach.

Naraz krzyki przerażenia otoczyły go na widok błyskającego nad saniami ostrza siekiery.

Głosy te głuszyło jeszcze piekielne ujadanie psiarni.

Ręka Wosinka opadła, wypuszczając siekierę. Pijak dzwignął się i wygramolił z siana. Stał na saniach, lecz zaraz zachwiał się i przysiadł.

— Co się tu dzieje — dominował nad krzykami głos barczystego mężczyzny w sile wieku.

Wosinek wybałuszył oczy i nie nie pojmował. Kiloro ludzi otaczało jego sanie.

— Coś ty za jeden... czego tu awantury wyprawiasz — pytał głos najgroźniejszy.

— Albo dasz pan wódki... albo pan nie dasz, to sobie sam wezmę... a nie, to łeb rozplątam — bełkotał pijany coraz ciszej.

— Zamknąć go w stodole — krzyknął pan do służby — dopóki się nie wytrzeźwi, a konie z saniami wziąć tymczasem w zastaw... Będzie mi tu płoty rozwałę po pijanemu...

Ale kiedy zabrano się do Wosinka, ten jak gdyby nagle wytrzeźwiał i przytomnie zorientował się w sytuacji — zaczął się szamotać groźnie.

— Zwiążcie go, bo jeszcze komu zrobi co złego!

— Puszczać, bo jak mi Bóg miły... zabije!

Wśród tego zjawiała się i pani domu, do której gospodarz zwrócił się teraz, opowiadając, co zaszło.

— Myślałem, uważasz, że to może Teklunia przywiozła do nas panią Edwardową... wybiegam tedy...

— Nie ma dziedziczki... ho, ho! — krzyknął na to Wosinek, słysząc słowa gospodarza — a co pan masz do dziedziczki... nic pana to nie obchodzi... patrzajcie go... Teklunia... Tu nic niema do gadania stara klucznica... ja mam słuchać siostry Felicyi... co mi kazała, to zrobił, a panu nic do tego... Dasz pan wódki, czy nie... Patrzajcie go, dziedziczki niema i już... Teraz siostra panowa jest dziedziczka...

(Ciąg dalszy nastąpi).